

PROMIEŃ

MIESIĘCZNIK

MŁODZIEŻY

GIMNAZJALNEJ

M A J
NR. 7 1938
ROK XIII.

I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,
Ileś za młodu życia wchłonął w siebie.

P R O M I E Ń

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. I. Marsz. Polski
Józefa Piłsudskiego w Ostrowie Wlkp.

Kierownik Wydawnictwa — Redaktor Odpowiedzialny — Redaktor Naczelny
K. Woschke Prof. dr. J. Jachimiek Rajski T.

Święto dumy narodowej

I zagrały dzwony we wszystkich kościołach, huknęły działa przed zamkiem królewskim a pod strop katedry św. Jana wzniosło się potężne „Te Deum” roznosząc po całej polskiej krainie radosną wieść o uchwaleniu konstytucji. Upadająca Rzeczpospolita została po raz pierwszy podparta. Z miłości narodu i Ojczyzny — wypłynęła konstytucja 3 maja, która położyła kres dziejom pewnych stanów a powołała do życia cały naród. Nareszcie szlachta, która tworzyła dzieje Polski tyle wieków, zrozumiała, że ocalenie Ojczyzny spoczywa w rękach wszystkich stanów. Stąd też radość wszystkich Polaków -patriotów była ogromna i Trzeci Maj witano jak wiosnę narodu polskiego. Bardzo pięknie określiła dzień ogłoszenia konstytucji Maria Konopnicka w następujących słowach: „Zapachniałeś kwieciem najslodszej wonności: Miłością Ojczyzny i bratniej jedności”. Choć konstytucja 3 Maja nie zdołała uratować Ojczyzny od upadku, to jednak pozostawiła po sobie niezatarte wrażenie. Stała się ona jak gdyby testamentem dla pokoleń Polski porobiorowej, które czerpały zawsze z niej siłę do walki z najeźdźcą.

Nie też dziwnego, że Trzeci Maj stał się największym świętem narodowym. I dziś jeszcze, chociaż ta konstytucja nie ma dla nas praktycznego znaczenia, czcimy dzień 3 maja, ponieważ położył on podwaliny sprawiedliwego ustroju narodowego. Od niego rozpoczynają się właściwe dzieje narodu polskiego. To też Trzeci Maj jest świętem wyjątkowym i powinien być obchodzony jak najokazalej. Dzień 3 maja jest najpiękniejszym wśród dziejów naszego narodu. Po raz pierwszy od wieków zapanowała wtedy w Polsce zgoda i jedność wszystkich stanów a przez całą Rzeczpospolitą powiał duch wielkości i wiary we własne siły, przed którym musiało ustąpić zwątpienie i poddanie się lasce losu. Niechaj więc ten Trzeci Maj przyczyni się, aby wreszcie znikł u Polaków kult złałości i małości, który jest pozostałością po niewoli a na jego miejsce niech wstąpi wiara w zdolność dokonania wielkich czynów, wiara we własną potęgę, której nie zdoła skruszyć żaden wróg. Pokażmy więc światu naszą siłę, pokażmy karność, która cudów może dokonać. Zaprzestańmy wreszcie kłótni i sporów, które nas wzajemnie dzielą. Niechaj połączy wszystkich Polaków jedność i zgoda a wówczas śmiało będziemy mogli wypowiedzieć walkę naszym wrogom wewnętrznym, którzy wykorzystując nasze rozprężenie, wnikają we wszystkie komórki życia państwowego kierując nim dla swoich własnych celów. Trzeci Maj więc, to dzień zjednoczenia narodu, dzień dający początek walce z wszystkimi wrogami Ojczyzny, obcymi nam rasą oraz dążeniami a pragnącymi naszej zguhy. Zwycięstwo w tej walce będzie na pewno po naszej stronie. Wynikiem zaś tego zwycięstwa będzie Wielka, Potężna i Narodowa Polska.

Antoni Kut.

Piśmiennictwo narodu jest odbiciem myśli i uczuć narodu. W nim to, jak w zwierciadle, przegląda się naród, w nim zostawił rzetelny wizerunek całego żywota swojego.

(Karol Libelt: „O miłości ojczyzny“)

„Już mija trzeci rok“

Dnia 12 maja 1935 r. w godzinach wieczornych zakończył swe utrudzone życie Pierwszy Marszałek Odrodzonej Ojczyzny, Jej wskrzesiciel — Józef Piłsudski. Niepodobna choćby w kilku słowach nie wspomnieć o tym Wielkim Synu Ojczyzny w trzecią rocznicę Jego śmierci. Choć postać Jego my młodzież polska wciąż mamy przed oczyma, to jednak w dniu, który nam przypomina Jego zgon prócz modlitewnej pamięci zechciejmy poświęcić choć kilka chwil rozważaniu Jego wielkiego Ducha zwartego w Jego wiekopomnych czynach i pismach, które pozostawił potomności. Trudno przedstawić na tym miejscu życie walki i koleje losu Wielkiego Marszałka, zresztą wszystkim dobrze znane. Zwróćmy jednak choć chwilę uwagę na Jego nieśmiertelne pisma, w których szczególnie przebija moc Ducha i niezłomna, stałowa wola wykonania najszczytniejszego obowiązku, jakim jest służba Ojczyźnie... Oto 31 lipca 1919 roku w swej odezwie do wojska tak mówi Marszałek Piłsudski:

„Żołnierze! Po upadku Polski każde pokolenie zrywało się do walki o utracony byt niepodległy, każde pokolenie szło na pole bitwy żołnierza, jako przedstawiciela siły Ojczyzny, by krwią serdeczną wpisywał w księgę dziejów „Jeszcze nie zginęła“...

„Krew Waszych przodków pisała w dziejach słowa „Nie zginęła!“ Wy szczęśliwsi brwią swą piszecie: „Żyje i zginąć nie może“!...

Tak mógł pisać urodzony Wódz, który był Ojcem dla żołnierza, który sam przeszedłszy wszystkie studia doli i niedoli żołnierskiej, najlepiej zglebił jego psychikę, jego potrzeby, jego troski, jego dążności... Nie dziw więc, że wojsko umiłowalo swego Wodza ponad wszystko i pod technieniem Jego rozkazów szło chętnie na bój, by życie swe położyć na ołtarzu ukochanej Ojczyzny.

Na innym miejscu pozostawił w swych pismach Józef Piłsudski taką maksymę:

„Nie bać się życia
Nie bać się trwóg
Na nowych szlakach
Szukając dróg...“

W tych słowach zawarty jest program pracy codziennej podyktowanej każdemu obywatelowi na jego posterunku. Rozważmy więc, jaka głębia myśli zawarta jest w tej maksymie... Kiedy z garstką żołnierza wszczął Marszałek Piłsudski swe pierwsze kroki, zmierzające do oswobodzenia Ojczyzny zdawało się, że nie uczyni wobec liczebnej przewagi wroga i perfidnych metod postępowania zaborców. Oto w swym przemówieniu w Warszawie na wieczornicy urządzonej przez Zrzeszenie byłych wojskowych polskich w 1918 r. tak wyraził się I. Marszałek Polski:

„Prowadziłem was, chłopey, po ciężkich drogach, prowadziłem po ciężkich ścieżkach... Żołnierz lubi triumfy, żołnierz lubi wawrzyny, żołnierz lubi jasne słońce zwycięstwa. Ja zaś prowadziłem was po cierpieniach, po drogach, które niejednemu serce i charakter łamały, bo ja się nie bałem prowadzić po tych drogach, ja się nie bałem, że wy się załamięcie. Ja byłem pewien, że tak, jak ja, wytrzymacie w najcięższych chwilach, zostaniecie wiernymi Ojczyźnie, wiernymi, mężnymi, silnymi żołnierzami!“

Niech dla nas te słowa Wielkiego Wodza, człowieka czynu, Marszałka Piłsudskiego będą zachętą do intensywnej pracy, nieznającej przeszkód nad urobieniem własnym! Niech praca na ławie szkolnej będzie codziennym, ofiarnym, nie wielkim, ale solidnym czynem składanym na ołtarzu Ojczyzny w myśl wskazań Wielkiego Wodza! Niech fakt, że Imię Pierwszego Marszałka Polski, z którym nasz Zakład uroczyście i po wsze czasy został związany, będzie asumptem do bezinteresownej, wytrwałej i ofiarnej pracy na niwie szkolnej i społecznej. Wykuwajmy swe charaktery na modłę Wielkiego Charakteru I. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Hartujmy wolę, służmy Ojczyźnie w tym, co najłatwiejsze — w wykonaniu codziennych obowiązków, uczucia, obywatela, Polaka.

Kiedy w rocznicę śmierci Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego myśli i serca całego narodu zwracają się do Jego grobu na Wawelu i do Serca na Rosie w ukochanym przez Niego Wilnie — niech serca nasze, młodzieży szkolnej w należnym holdzie oddadzą cześć Śmiertelnym Szczałkom Wodza Narodu, a myśl naszą niech krzepi potężna nauka Jego Nieśmiertelnego Ducha!

Niech wreszcie żywym wyrazem duchowej łączności z Wodzem Narodu i Jego nauką będzie zapoczątkowana i chwalebna łączność nas, młodzieży z armią, by przy wspólnych celach i przy wspólnych dążeniach cześć starożytną a tak głęboką zasadę

„Salus Rei Publicae suprema lex esto”.

Kazimierz Stawowy.

Ultimum Vale!

P. prof. Wójtowiczowi — autor.

Przyszłedł czas rozstania, więc Cię żęgnam greko
I nad twoim losem lzy rzewne mi cieka.
(Bo mimo twych zasług, mimo twoje plony
Z życia średniej szkoły zwał Cię wicher szalony...
I lęk o twe losy serce moje bierze
Życia wielki mistrzu, pieśniarzu Homerze;
Żal cię Sokratesie mądry i Platonie...
Wstyd, że w niepamięci stara Hellas tonie!
Żal, trójco tragików, że w dzisiejszej dobie
Wasze dzieła giną w niepamięci grobie;
Żal serce przenika do głębi ponury,
Że między te polskie, gimnazjalne mury
Geniusz starych Greków prędko nie zabłądzi!
A sprawców upadku niech potomność sądzi...
Leez my twą kulturę w krew wessawszy młodą,
Nie pójdziem z tym prądem, nie popłyniem z wodą.
Pod twoim sztandarem podbijem świat cały,
Wznosząc się do dawnej Odrodzenia chwały;
By starej Hollady znów zabłysło słońce,
O to będziem walezyć młodzi jej obrońce.

Stanisław Zybala.

Matka Twoja...

Słyszycie?

— Nie.

— A ja słyszę.

Oto Matka Najświętsza w bieli ubrana, z złocistą koroną, z uśmiechniętym obliczem zniża się ku nam.

Co, nie wiecie, że to maj? Miesiąc poświęcony Jej cześć?

Nie pamiętacie, jak corocznie płoną przed Jej obrazem i figurą wieczne lampki, jak misterny kielich tulipanu składania się pod Jej stopy, jak czarujący narcyz swą pięknocią stroi Jej odtarzę?

Przyroda budzi się do życia. Skowronek wzbił się w przestworza i na Jej cześć wyśpiewuje; słowik siadłszy na zielonej gałązce, śle swój tryl pod niebiosa, inne ptaszęta, choć mu dorównać nie umieją, też zgodnymi głosem wyśpiewują Jej chwałę.

— A Ty? Śpisz?...

Przebudź się do życia! Jeśli nie umiesz tak, jak słowik na jej cześć śpiewać, bądź przynajmniej zwykłą ptaszyną, która tym, czym umie, Jej cześć oddaje.

— A teraz słyszysz, widzisz już jak się do nas zbliża? Patrz w górę!

— Oto Matka Twoja!

Patrz, jak swym opiekuńczym płaszczem ogarnia ziemię całą a szczególnie Polskę, bo tam jej dzieci, bo Ona Królową Korony Polskiej!

Spiesz na Nabożeństwo Majowe i tam proś o łaskę, Ona Ci nie odmówi, bo to Matka Twoja!

Henryk Kamiński, Lic. kl.

Gdyby nie głos natchniony narodowej łutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu
Czemżebyśmy dziś byli, my nędzarze smutni?

(A d a m A s n y k).

Czy wszechświat jest nieskończony?

(Dokończenie)

W czasach, gdy astronomia stawiała pierwsze dopiero kroki, wydawało się rzeczą naturalną, iż gwiazdy ciągną się w głąb przestrzeni w nieskończoność. Dziś jednak wiemy, iż zagłębiwszy się dość daleko w przestrzeń dotarlibyśmy do obszarów, gdzie gwiazdy stają się coraz rzadsze a w końcu nie ma ich wcale; są to obszary poza granicami Drogi Mlecznej. Przytoczę tutaj obrazowe porównanie astronoma ang. J. Jeansa: „Gwiazdy — mówi on — to jakby latarnie wielkiego miasta; lecz żadne miasto, choćby największe, nie rozciąga się w nieskończoność i jeśli posuniemy się dostatecznie daleko, znajdziemy się poza miastem, w otwartym, ciemnym polu.“

Dzisiejsza nauka wykazała jeszcze, że płaski układ gwiazdowy, ograniczony wspomnianym pasem Drogi Mlecznej nie jest jedynym układem gwiazdowym w wszechświecie.

Daleko poza krańcami Drogi Mlecznej istnieją inne „miasta“, z których każde posiada swoje „latarnie“. Oto przykład wspomnianego już J. Jeansa: „Z okrętu znajdującego się w znacznej odległości od brzegu, nie odróżniamy światła miasta portowego w postaci oddzielnych punktów świetlnych, lecz wszystkie one zlewają się w rodzaj mglistej chmury świetlnej. Dopiero gdy zbliżymy się bardziej do lądu, zaczynamy odróżniać pojedyncze światła, zrazu jaśniejsze, potem coraz to słabsze.“

Tymi „mglistymi chmurkami“ w wszechświecie są — mgławice. W ostatnich latach rosnąca siła teleskopów zbliżyła je do nas, tak iż poczęliśmy odróżniać oddzielnie pojedyncze ich „światła“, przekonując się, iż są one zbiorowiskami gwiazd, podobnymi do naszego układu gwiazdowego. Trzeba jednak pamiętać, że nie wszystkie mgławice są zbiorowiskami gwiazd.

Mgławice, znajdujące się w obrębie naszego układu gwiazdowego czyli t. zw. Galaktycznego są tylko smugami

i chmurami pyłu oraz świecącego gazu, które ciągną się od gwiazdy do gwiazdy.

Odległość mgławic poprzedniego rodzaju, a więc mgławic będących zbiorami gwiazd przechodzi wszelkie pojęcie. Dość wspomnieć o odległości od ziemi najbliższej takiej gromady kulistej, która wynosi tylko 18.400 lat świetlnych. Kto chce, niech policzy, ile to naszych „mizernych“ kilometrów, wiedząc że prędkość światła w przestrzeni międzyplanetarnej wynosi ok. 300.000 km/sek.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu astronomia zajmowała się prawie wyłącznie układem słonecznym. Dziś przedmiotem jej badań są przede wszystkim gwiazdy i ich różnorodne układy.

Zbiór wszystkich takich gwiazd i układów stanowi nasz Układ Galaktyczny, ogromne zbiorowisko gwiazd, którego brzegiem jest Droga Mleczna.

Okazało się jednak, że i ten wielki układ jest jedynym z wielu układów analogicznych. Obecną sytuację postawionego w tytule niniejszego artykułu pytania można by streścić w postaci 3 nast. twierdzeń:

1. Ziemia jest jednym ze składników rodziny słonecznej.
2. Rodzina słoneczna jest jedną z części układu Galaktycznego.
3. Układ Galaktyczny jest jednym ze składników zbioru układów gwiazdowych wszechświata.

Do tego stanowiska doszła astronomia w chwili obecnej. Co będzie jednak dalej? Czy za kilka lat wystarczą przytoczone tu 3 twierdzenia, czy też trzeba je będzie uzupełnić dalszymi o tym samym charakterze? Czy nie okaże się, iż zbiór układów gwiazdowych stanowi tylko jednostkę w ugrupowaniu jeszcze rozleglejszym, a to ostatnie, być może, znów jeden tylko element czegoś jeszcze większego?

Otóż nowoczesna nauka dochodzi do wniosku, że układ układów gwiazdowych jest już całym wszechświatem. Jeżeli istnieje coś poza nim, a o tym nie konkretnego nie wiemy, to mogą to być tylko inne wszechświaty całkowite, pozba-

wione łączności z naszym. Wszystko przemawia jednak raczej za tym, że dalej rozciąga się już tylko pusta przestrzeń.

W ten sposób zatem podane powyżej 3 tezy wyczerpują sprawę i nie wymagają uzupełnień. Są to wyniki, do jakich doszła dzisiejsza wiedza ludzka.

N e n t w i g T a d e u s z .

Na jubileusz

Przeżywamy ciekawy okres, rojący się od jubileuszów — i innych pamiątkowych uroczystości. Nie będę wspominał o narodowych jubileuszach, powtarzających się co rok; mam na myśli takie święta, jak: 3 maj i 12 maj. Tym należy się osobny artykuł. Chcę wspomnieć o tym, co już napisał kol. Zybala w artykule: „Historyczny dzień — 12. 4. 1938“. Z dniem tym zniknął w Polsce dawny typ gimnazjów, wypierany przez nowy ustrój gimnazjalno-licealny. Jest to bardzo poważny cios dla stanu kultury klasycznej, czemu warto poświęcić jeszcze osobny artykuł. Łacinę ograniczono do 4 lat nauki, grekę wycofano zupełnie lub prawie zupełnie. Lecz o ironio! Nad grobem greki obchodzimy właśnie jubileusz 100-go numeru „Filomaty“, pioniera kultury antycznej w odrodzonej Polsce. O tym, że jeszcze niezupełnie zaginął urok i chęć poznania tejże świadczy wielka pożyteczność tego bardzo potrzebnego i pożądanego miesięcznika (z czego jednak nasze gimnazjum nie może być dumne).

Coraz częściej dają się słyszeć głosy, że w „Filomacie“ ukazują się artykuły w większej części Żydów. Słusznie. Ale zaraz zapytam, czyja to wina? Tylko nasza! Bo o ile nikt z nas, uczniów gimnazjum polskiego nie może zdobyć się na poważniejszy artykuł do „Filomaty“, to jej redaktor, nie chcąc, by duch święta Greków i Rzymian zamarł w narodzie polskim musi uciekać się do tej ostateczności.

Tyle.

Z powodu zaś jubileuszu życzę z całego serca „Filomacie“ jak najsilniejszego rozwoju i powodzenia w swojej szczytnej misji.

Redaktor Naczelny.

Historyczny dzień — 12. 4. 1938

Uplywa szybko życie,
Uplywa szybko czas.
Za rok, za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas...

To prawda! Ale po ludziach zawsze coś pozostaje: jakieś urzędnienia, pamiątki a w najgorszym razie wspomnienia. My, tegoroczni maturzyści znajdujemy się właśnie w tym smutnym położeniu, że możemy wam, koledzy, pozostawić tylko wspomnienia. Nasi poprzednicy pozostawiali nam przynajmniej tę samą szkołę, stare książki, „bryki“... My nawet wam tego nie możemy zostawić w spuściźnie! Nie dlatego, że może nie stać nas na nie, lub że bez nich obywamy się... Nie! Ale dlatego, że w dniu 12 kwietnia br. skończył się stary, ośmioklasowy typ!

Bo cóż ci bracie, po „bryku“ do Homera, kiedy ty w najlepszym wypadku marzysz o Xenofonie a już jesteś zadowolonym, gdyż poznał, jak się tworzy imperfectum od *παίδεω* (pajdeno)? Cóż ci po bryku do Horacego, kiedy w IV klasie poprzestajesz na okrucach z Cicerona i Owidiusza, nie myśląc już o Horacym (mam na myśli naturalnie „fizyków“). Nie myśl, że chcę ci ubliżyć! Dalekim od tego! Ale faktem jest, że ty już nie zakosztujesz w szkole tego, czegośmy zakosztowali my sami; szkoła nie da ci już tyle przyjemności duchowej, tyle znajomości życia. Ale nie twoja to wina!

Osiem lat to szmat czasu! Profesor dobrze mógł poznać ucznia, zwłaszcza takiego, który studiował gruntownie i czasem parę latek dolożył do tej ósemki. Ano! Przypadki chodzą po ludziach!

I nie dziwnego, że między klasą a profesorem wytworzył się stosunek braterstwa, którego nieraz wśród szarego życia szkolnego nie dało się zauważyć a który wyszedł na „jaśnię“ dopiero przy pożegnaniu. Tę nie sympatii potęgował jeszcze sam przedmiot wykładowy, — słuchany z zamilowaniem; zdarzały się wyjątki wśród poszczególnych uczni a i stopień zamilowania różny był. W mojej np. klasie najmniejszym

wzięciem ze względu na nasze lekkie umysły cieszyła się matematyka. Ale za to greka była otaczana szczególnym pietyzmem tak ze względu na sam przedmiot, który był prawdziwą uczcią duchową, jak i ze względu na profesora-artystę.

Toteż nie dziwnego, że wszyscy profesorzy z żalem żegnali się z nami! I wątpię koledzy, czy po sześciu latach będziecie świadkami i uczestnikami takich pożegnań, jakie nas spotkały po ośmiu latach. I dlatego dzień 12 kwietnia br. ze względu na swój wyjątkowy charakter wrył nam się głęboko do serc, co bez wątpienia można również powiedzieć o profesorach a zwłaszcza o filologach.

Trzeba było widzieć te wzruszone twarze, ten ból steranego latami i kształceniem serc profesora, kiedy po dwudziestodziewięcioletniej pracy miał ostatnią lekcję greki... Nie było wielu słów! Ale to milczenie, ten ból ściskający serce był od nich o wiele wymowniejszym.

Bez wątpienia wiek dwudziesty ma inne wymogi. Żyjemy w czasach wyścigu gospodarczego i militarne go, w którym Polska musi przodować; ale zostaniemy w tyle, jeśli poprzestaniemy tylko na kapitale i wiedzy fachowej; to jest dopiero forma; bo duszą tego wyścigu winien być hart i wysilek zbiorowej duszy polskiej, dochodzący nieraz do poświęcenia i bohaterstwa. A od kogóż lepiej się tego nauczymy jeśli nie od starej Hellady i Rzymu?

Stanisław Zybała.

Soble a muzom...

Wierszami bawię się lubię
Bo to mi życie umiła;
Za chwila schodzi mi chwila.
Kiedy w ramotach mych dłubię...
Nie piszę ich ku mej chlubi,
Bo nie mam pychy motyla;
Bawię się nimi do tyła,
Aż duszę ma uholubię...

Krytyki wszelkie są tanie! ✓
Stąd też nie myślę o sławie
I nie dham wcale o zdanie...
Nie dbam, bo tylko się bawię!
Za nie mi tedy nie stanie
Krytyka o mej zabawie...!

Stanisław Zybała.

MAJ

(Wycinek z pamiętnika).

4 maja 1938

„Witaj majowa jutrzeńko” — śpiewają patrioci, mając na myśli konstytucję trzeciomajową. „Witaj majowa jutrzeńko” nucą inni w sensie odmiennym, niż ci pierwsi. Jednym słowem ten najdziwniejszy w roku miesiąc posiada w sobie niewymowny czar. Działa on na wszystkich; obojętnie mu, czy jesteś nowonarodzonym podlotkiem, czy bezzębnym staruszką, czy chodzisz do szkoły, czy jesteś ambasadorem. Każdy ma inny charakter, odmienny sposób myślenia, swój świat wewnętrzny a mimo tego w maju zatracą swą indywidualność i tańczy tak, jak mu wszechwładna pani wiosna rozkaże. Bo istotnie maj jest czarodziejem — filutem, który upija ludzi do nieprzytomności zapachem rozkwitłych bzów, całuje promieniami słońca i pieści w ramionach ciepłego wiatru. A człowiek, niezłym nalogowy narkoman, wehłania to wszystko w siebie tak długo, póki go nie ogarnie przesyta. Kiedy to już nastąpi stwierdza, że Muza wraz z sentymentalizmem użyczyła mu coś niecoś z geniuszu poety. Wtedy zaczyna bawgrać mniej lub więcej udane wiersze pod protektorem łaskawego boga, którego imię brzmi „Amor” (łacinińcy czytają to wspak).

6 maja 1938.

Maj bez „majluftów” i chrabąszczy to tak jak król bez tronu lub zima bez śniegu. — „Teście chrabąszcze”, — głoszą uczeni — „to największy szkodnicy naszych drzew liściastych”. — „Chwytajcie chrabąszcze, bo taka jest moda” — twierdzi szerszy ogół społeczeństwa szkolnego obojga płci na terenie Rzplitej. Dzięki tak wzniosłym hasłom jest u nas wielki popyt na chrabąszcze. Codziennie setki ich ładuje się do pudełek z napisem „Polski Monopol Zapalczany” lub do butelek, których wnętrza też miały do czynienia z monopolem. Trzeba zaznaczyć, że przykład torturowania tych chi-

tynowych stworów zapożyczono od humanitarnych i na wysokim stopniu kultury stojących Wandalów.

7 m a j a 1938.

Dziś sobota. Udałem się do parku, aby nieco odetchnąć po pracowitym dniu. Dlaczego pracowitym? Zaraz objaśnię. Otrzymanie minus ledwo dostatecznie z francuskiego. piłowanie dwucalowej deski, przeskok przez całego konia wzdłuż na gimnastyce, czy to nie jest rzetelna praca? I to jeszcze, gdy ładny, wiosenny dzień nęci tyloma pokusami grzeszne cielsko. Pierwsze monstrum, które ujrzałem w ogrodzie miejskim, było moim kolegą zwanym popularnie poetą z tej racji, że pisze wiersze. Bez czapki, z rozwichrzoną czupryną i z notesem w rękę, coś pisał. Widać, że ma natechnienie, bo hose nogi zanurzył po kostki w mętnej wodzie miejskiego stawu a minę to zrobił taką, jak grzesznik z ziemskiego padolu, porwany żywcem do nieba. Trącam go lekko w łokieć. Ocknął się. Popatrzał na mnie dłuższą chwilę jak na wariata a potem bąknął pod nosem: — „Wszystko stracone!“ — Co? — „Natechnienie“ — odpowiedział zarumieniony, jak piętnastoletnia pensjonarka. — „Bo widzisz“ — tłumaczył się — „zacząłem tworzyć taki oto poemat. a ty mi go przerwałeś“ — Tu pokazał mi swoją kompozycję:

Gdy słońca blask,
w majowe południe
roznieci pożar nad stawem,
woda przywdziewa srebrny kask,
mieniąc się cudnie.
A wierzby — dziewice zalotne,
pieszczące wodę włosami,
wryły się korzeniami w błotne
bagnó, sitowiem zarosłe.
Cisza... i tylko chwilami
ptak się odezwie...

O maju! Dziwnaż twa moc, co z zakochanych robi poetów, każąc im się rozczułać w białe księżycowe noce, co flegmatyków wytrącaś z cielesnej apatii a cholerykom wpuszczasz balsam kojący w roztrzęsione nerwy.

Najpiękniejszy miesiącu bądź pozdrowiony!

9 m a j a 1938.

Dziś poniedziałek. W klasie byli wszyscy, jak zwykle, nieprzygotowani.

J ó z e f T o m a ś a.

Donia

Donia od samych urodzin była taka bledziutka, taka lichutka — ni głosu nie miała, ni... Nie. Nie godnego. A przecież jej pierwszy oddech był haustem wiejskiego powietrza! Dopiero kiedy po blisko dwustu dniach cherlaczego żywota znalazła się w mieście — nadspodziewanie poczęła rażniej fikać krótkimi swymi kulaskami, pełnić, różowić, nabierać soczystego głosu i — w ogóle.

Dziś Donia ma około pięćset dni i nocy! Ma oczka sarenki, maleńki buziaczek w ciup świeżo-różowy, pełne liczka z doleczkami i nasek maciupęńki, i nastroszoną zawsze rzadko-płową czuprynkę, i pulchne paluszki, i tupotliwe nóżki, i wieczny ruch, wieczne zajęcie, szczebiot, pisk, wrzask, bek, przemile uśmieszki, przedziwne spojrzenia i przepyszne grymaski rozdąsanych usteczek... Donia tańczy, Donia śpiewa, Donia drze książki, Donia wyjada cukier, Donia tłucze filiżanki, Donia śpi, więc sza!. Donia to, Donia tamto, tak, owak, Donia, Doni, z Domią, o Doni... Pełen dom jest tej Doni, co ledwie 60 cm nad podłogę wystaje. Wszyscy nią się interesują, wszyscy chodzą na palcach gdy Dońka śpi...

Jest fantastycznie fertyczna, zwinna, szybka, gibka, silna, ma talent dramatyczny, ma głos, ma oczy, nos, buzię fotograficzną, nogi (!), kibić, jednym słowem... potrafi codziennie wytluc za 30 groszy (przeciętnie) szkła, fajansu, porcelany, potrafi podrzeć kilka gazet, potarmosić mądre książki,

wypaść na lepetynkę z wózika, ściągnąć sobie doniczkę na głowę, zgubić parę kluczy, zabrudzić do okropności dwie sukienki, umorusać się kilkadziesiąt razy, wylać atrament na obrus, płakać godzinę, wykrzykiwać niby-śpiewnie drugą, dąsać się trzecią i znowu skrzeczeć czwartą godzinę... Donia jest wszechstronna. Rozumie wszystko. To, że jeszcze nie porządnego nie mówi, to frajda — niedługo będzie deklamowała. Dyskusje z nią w pierwotnym schemacie są takie:

— Jaka jest Donia?

— Aja.

— A mama?

— Aja.

— A Kaziu?

— Ba!

„Aja” — zasadniczo znaczy u niej — dobry, ha — brzydki! Ot, filozofia.

Donia darzy mnie wysokimi względami. Rano, gdy jeszcze śpię, przydrepce nieraz do mego łóżka, wespnie się na palcach — i różowy swój paluszek wpycha mi metodycznie w zamknięte oczy tak długo, aż się nie zbudzę. Wtedy wydaje straszliwy okrzyk radości i lśnią ciemnymi oczkami, tańczy dziko z uciechy, kręci się chwiejnie, drepci, tupie, drepci, piszczy, pokwika, kurezy się, pręży — leci na złamanie karczku wpoprzek przez pokój raz, drugi, gramoli się na krzesło, z krzesła na stół, łaps! za pierwszą lepszą książką i rym! nią o podłogę! A gdy na nią krzyknę, wtedy chytrze a przemiłe zezując na mnie, bierze ostrożnie następną książkę, rozkłada ją sobie na kolanach — i tak siedząc udaje okropnie zaczytaną.

Donia jest szalenie, okropnie, do nieprzytomności miła, ale...

...Bywa. Wieczór. Cisza. Nastrój. Czytam. Poważna książka. Skupienie się. Myśl. Nagle Dońka zaczyna koncert. Zrazu dąsy, ehrzåkkania, ziewanie, strojenie gardziolka, potem głośniejsz, płaczkliwiejsz a wreszcie na całego jęczy, piszczy, krzyczy, skrzeczy, skrzeczy, skrzeczy... pól! godzina!! dwie!!! Retyyyy!!!!

Gdy w dzień to się trafia — wtedy naciskam czapkę na ciemię i idę błądzić bez celu po mieście; ale gdy wieczorem! Ani stoicyzm, ani anerwowość...

Na drugi dzień rano znów Donia paluszek w oko mi wypycha, znów śmieje się figlarnie i buziąka tak rozkosznie w ciup nastawia, że tylko emoknąć, uścisnąć i lubieć, lubieć, kochać... i — wróciwszy ze szkoły, dowiedzieć się, że Donia zbiła lustro, że weszła w trzewiczkach do pełnej miednicy, że „Iliadę“ wrzuciła do mydlin, że spadła ze stołu — i znów słuchać jej wytrwałego tupotu, pokrzyków, zachwyków, wieczornych skrzyków — a rano zbudzić się z różowym, pulchnym jak kielbasa paluszkciem w oku...

Szczublewski Józef

Pytania

Czemuż na niebie gwiazda się tak mieni!

Czemuż na niebie tak gwiazda migocze?...

Gdy zniknie plama zachodu czerwieni.

Czarne na świat nasz solywają noce?...

Ach! Kiedy pola i chaty już zasną —

Czemuż sny schodzą tak smutne i łzawe?...

Czemuż raz po raz złote gwiazdy gasną...

I księżyc w chmurach się kryje ciemnowych.

Ach! Jak posępnie na duszy głębokie...

Ach! Jak jest straszno w sercu bladej toni...

Jeno przez głowę myśli strumień płynie

Jeno w sercu nokturn melodyj swą dzwonił...

—o—

Tak zawsze było — jest i tak będzie

... Nierozwiązana zagadka istnienia...

... I smutek łzawy na sercach osłędzie...

... Gdy zatoniemy znów w maszych marzeniach.

Choć świąty myśli dawno rozgorzały

I choć minęło już światła zaranie

Nie będą nigdy jutru nie prawdy dniady.

Zostaną już tylko same zapytania.

Reising Ryszard.

„Kinomaniak“

W dobie obecnej, dobie postępu cywilizacji i kultury, film wyhil sobie jedno z dominujących stanowisk w uczuciach i zainteresowaniach wszystkich prawie ludzi. Film zawiądował całym światem a szczególnie światem młodych zapaleńców marzących i bujających w świetle przygód, maniakami indianerstwa i poszukiwaczami złota ewentualnie... guzów.

Proszę sobie wyobrazić nastrój, jaki zapanuje (szczególnie wśród młodych) po ukazaniu się jaskrawych afiszów z szumnymi tytułami opiewającymi film, jakiego dotychczas świat nie widział i nie zobaczy, wyprodukowany kosztem milionów...

Przed kinem ogonki...

W kinie tłok nie do opisanja i wiele mówiące o całym nastroju spojrzenia...

Wszystkie twarze pełne naprężonego oczekiwania. No, nareszcie... ciemno i... wraz z Indianami lub cow-boy'ami przenosi się kinomaniak w prerie, nad Amazonkę lub nad Missisipi. Świat należy do niego. Zrzuca ze siebie swą powszechną, codzienną powłokę, ubiera się w skóry nadzwyczajności, nadezłowieczeństwa i szybuje po niezmiernych przestrzeniach wyobraźni ludzkiej i oderwania od trosk życia doczesnego.

Kinomaniak pasjami lubi filmy amerykańskie. One są jego ideałem, w nich znajduje cząstkę tego własnego, wyśnionego „ja“. Te proste w treści, krzywe w opracowaniu, średnie w smaku filmy, dają mu cały raj zadowolenia i radości a co najważniejsze emocję, objawiającą się (dotkliwą dla otoczenia) gestykulacją przy akompaniamencie omdlewająco-głośnych zachwyków, mogących śmiało konkurować pod względem natężenia, wysokości i barwy tonu z wszystkimi instrumentami świata.

Taki bywalec kinowy chodzi potem w natężeniu, marzy o sławie, symuluje bohatera filmowego z najsubtelniejszą precyzją, „wali“ słowami i rękami z jeszcze większą, no i...

otrzymuje w rezultacie „lekkie“ napomnienie pod względem precyzji i artyzmu niedoścignione.

Byłbym niegodnym tego padolu placzu śmiertelnikiem, gdybym nie spuścił zasłony na różne inne indywidualne wyniki rozmaitych przygód, których źródłem bezpośrednim jest film. Film dzisiejszy to jedyny stuprocentowo pewny sposób na oderwanie strapionego ducha, nawet wraz z ciałem, od rzeczywistości. Proszę wyobrazić sobie siebie samych w chwili takiej sceny, gdzie jakiś Amerykanin, twardszy od żydowskich lichwiarzy, wytrzymałszy od wszystkich kinomaniaków razem wziętych (którzy bez drgnienia nerwu patrzyli na filmy grozy z najstraszniejszą „maską“ świata: Borysem Carloff'em), spada z wysokości 100-go piętra i nie wzruszając się tym w ogóle, czyta w czasie tego dzienniki poranne ewentualnie studiuje cedulę giełdową. Co za optymizm kapany w zimnej krwi, co za flegma (psychiczna!) przejęta prawem pokrewieństwa od mglisto-zimnych Anglików. I czyż tego biednego, prozaicznego człowieka, siedzącego w kinie nie ogarnie podziw dla takiego po prostu nadczłowieka? Bez wątplenia. Mimo, że „naśladownictwo prawnie wzbronione“, rozszerza się ono z przerażającą gwałtownością godną lepszej sprawy. Dzisiaj każdy przeważnie, (szczególnie młody!) wziął sobie z filmu jakiś ideał, nosi maskotki z jego podobizną, uśmiecha się, gestykuluje, układa wdzięczne poezje, tańczy wreszcie i... w ogóle we wszystkim naśladowuje swój ideał, tak, że w końcu zapomina o charakterze i istnieniu własnego jestestwa.

Film zdobył sobie wszystkich właściwą sobie cudowną fantazją, nie całkiem „niemożliwą niemożliwością“, w ogóle tym, czego nie ma i czego nie będzie, a o czym ludzie gdzieś, tam w „niezglebionych głębiach“ swych dusz marzą. A młodzi zapaleńcy tych marzeń (przeważnie rzadko ziszczonych) mają taką moc, że resztki ich zostają nawet na starość i bronią śmierci dostępu do niego. Na filmach zaś śmierć tak rzadko gasi życie ukochanych bohaterów...

...chyba w objęciach Erosa i Psyche...

St. Majchrzak.

Sztuczny mróz na usługach człowieka

W 85-tą rocznicę odkrycia.

Przyroda ukryła swoje skarby głęboko. Lecz bystre oko i rozum człowieka wyśledziły złoża węglowe, złoto, srebro i t. p., choć znajdowały się głęboko, na setki metrów pod powierzchnią ziemi. Z całą energią przystąpiono do wydobywania skarbów natury. Praca to ciężka i niebezpieczna. Trzeba było waleczyć z przyrodą, która stawiała przeszkody w pracy ludzkiej. Mimo ogromnego postępu techniki zdarzają się często katastrofy - w kopalniach skutkiem obsunięcia się ściany przez podmycie, albo zalanie wodą. Jak zabezpieczyć kopalnię przed tym groźnym wrogiem, jakim jest woda?

W połowie 19-go stulecia podczas spóźnionej, srogiej zimy zauważono w kopalni węgla w Anziu (Francja północna), że z chwilą, gdy mróz ściał ziemię, woda przestała zalewać kopalnię. Jednak to odkrycie, że zimno może być wyzyskane dla techniki, nie znalazło zaraz zastosowania, bowiem nie umiano jeszcze wytwarzać sztucznego zimna „na każde zawołanie“.

Z biegiem lat, gdy pomysłowość ludzka w sztuce zdobywania natury i korzystania z jej właściwości szła naprzód krokami „w siedmiomilowych butach“, użyto zimna jako środka przeciw wodzie. „Fabrykację zimna“ oparto na właściwości, że każde ciało przechodząc z jednego stanu w inny, wywołuje zmiany temperatury. Zbudowano odpowiednią maszynę, która wywołuje stałe parowanie cieczy i zmianę pary na ciecz. Przyrząd prosty w konstrukcji ma ogromne znaczenie praktyczne. Połączony odpowiednimi rurami z wykonanymi w kopalni otworami utrzymuje w głębi sztuczną „zimę“ i zamienia wodę, znajdującą się w kopalni, na lód.

Imponującym dziełem, wykonanym przy pomocy sztucznego zimna, jest zbudowanie przez inżynierów belgijskich

szybów w kopalniach węgla w Limbourngh, w terenie bardzo mokrym i położonym 600 m poniżej poziomu morza. Zamrożono aż 60.000 m³ ziemi.

Przy tym fakcie znikome wydaje się zamrożenie sztucznie 2.000 m³ ziemi przy budowie tunelu dla tramwaju podziemnego w Paryżu na kilkanaście lat przed powyższym.

Władza ludzka sięga coraz głębiej i coraz dziwniejsze stwarza sobie do władania pomoce. Coraz mniej rzeczy nam imponuje, coraz mniej „cudów“ techniki uważamy za „cuda“.

Marian Dołata, kl. IVb.

E. Bodo w Ostrowie

... Kwietniowa pogoda ...

Przyszedłem do teatru. Pełno ludzi. Kręcą się to tu, to tam.

Czy się uda?

Jak tam Bodo?

Czy dobrze wygląda?

Kiedy się skończy?

Ot. — jakie pytania dobiegały mnie zewsząd.

Przecisnąłem się do szatni.

Pukam!!

— Proszę?!

Wchodzę. Przede mną p. Bodo, uśmiechnięty, wygolony i ... wyperfumowany.

— Zapewne autograf — pyta.

— Tak — odpowiadam — ale jeszcze poproszę Pana o wywiad.

— Dobrze. Z całą chęcią. Co chciałby Pan wiedzieć? — zapytuje.

— Najpierw, od kiedy Pan gra w filmie?

— Ha! Ha! Ha! Odpowiedź na to pytanie równałaby się wyznaniu, ile mam lat, a ja chcę być jeszcze młody.

— Pan zawsze wygląda młodo.

— Dziękuję za komplement. No, ale muszę odpowiedzieć na pytanie. Reporterzy są bardzo ciekawi i natręcywi.

a ponieważ i Pan do nich należy, więc spodziewam się, że Pan by mi tego pytania nie darował.

— Spodziewam się — mruknąłem.

— Więc — ciągnie dalej p. Bodo — w filmie gram od roku 1921.

— W jakim filmie Pan pierwszy raz występował?

— W filmie p. t. „Żelazna wola”. Trochę nie zbyt, ale co zrobić! Stare to czasy.

— Zadowolony jest Pan z tego „grania”?

— Wie Pan, są tacy, którzy narzekają. Ja osobiście lubię takie życie, i po prostu nie mogę sobie wyobrazić mnie w innym zawodzie.

— Jaki Pan teraz film przygotowuje?

— Tytuł jeszcze nieustalony. To się robi zazwyczaj na końcu. W każdym razie gram z Dymszą.

— Niedawno był tu w Ostrowie film „Robert i Bertrand“ i...

— No, i co się Panu w nim najbardziej podobało?

— Ten taniec w spelunce.

— Może Pan jeszcze coś mi opowie?

— Chciałby Pan usłyszeć jakąś anegdotkę?

— Naturalnie.

I p. Eugeniusz zaczął swym miękkim głosem opowiadać dowcipną historyjkę, o pewnej Pani, która miała pieska. Nie będę przytaczał tu całej treści, powiem tylko tyle, że okazało się, że ten piesek był mądrzejszy od swej Pani.

— Jaki Pan nosi numer kolnierzyka — spytałem — bo p. Kiepora — gdy z nim rozmawiałem, — powiedział mi, że nosi 39-ty.

— Taki sam ja noszę.

— Ha! Ha! Ha! To się panowie pod względem kolnierzyków zgadzają.

Po kilku minutach potrząsnąłem prawicą p. Bodo, — który życzył mi „wszystkiego najlepszego“ — podziękowałem i...

opuściłem ten „przybytek sztuki“.

Jack Jasiński.

Krótkie fale w lecznictwie

Działalność fal krótkich i ultrakrótkich nie kończy się dzisiaj tylko na zastosowaniu ich w telegrafii, telefonii i telewizji, to znaczy w dziedzinach już nam znanych, lecz pewne właściwości tych fal przy odpowiednich warunkach technicznych umiała ludzkość wykorzystać też dla celów leczniczych. Właściwość ta, to działalność diatermiczna, czyli przegrzewająca fal krótkich.

Pierwsze próby zastosowania diatermii krótkofalowej czyniono na zwierzętach zaledwie 10 lat temu w Ameryce. W toku badań i prób ograniczono się z czasem do fal od 3—15 m, stwierdzając, że właśnie ten zakres fal daje chwilowo najlepsze diatermiczne wyniki. Od 3 do 15 m, czyli od 20 do 100 milionów drgań na sekundę! Łatwo to powiedzieć lub napisać, ale wyobrazić sobie to już jest znacznie trudniej. Żadna myśl i żadna wyobraźnia ludzka za tą szybkością nie podąży — a jednak fale te istnieją.

Lecz dlaczego krótkie fale w lecznictwie? Pomysłowość ludzka obdarzyła przecież świat lekarski już tak dużą ilością aparatów elektrycznych do zwalczania cierpień ludzkich. Czy pomimo to w dziedzinie lecznictwa fizykalnego dały się zaobserwować braki, które wymagałyby naprawy i udoskonalenia przyrządów leczniczych? Otóż właśnie w zakresie dotychczas stosowanej diatermii okazały się pewne braki i to nie tylko w przyrządzie przegrzewającym, lecz również i w efekcie leczniczym! Jedno i drugie usuwa natomiast diatermia krótkofalowa.

Działalność przegrzewająca zwykłych aparatów diatermicznych nie sięga wiele poza obręb skóry i warstwy podskórnej tkanki tłuszczowej. W obu miejscach prąd wysokiej częstotliwości zwykłej aparatury diatermicznej znajdując dużo oporu dla swego przejścia, zamienia się prawie całkowicie na ciepło. Tymczasem warstwy głębsze, jak mięśnie, naczynia i nerwy, wreszcie okostna i kość sama, przenika znikoma ilość prądu, która jest wprost niezdolna do działań przegrzewających, mimo, że elektrody, pomiędzy którymi

plynie prąd przez ciało, są bezpośrednio przywiązane na skórze. Jeżeli zechcemy, aby prąd wysokiej częstotliwości w głębi „aż do kości“ działał przegrzewająco, to żaden człowiek na trzeźwo i przy pełnych, zdrowych zmysłach takiego prądu na swej skórze by nie wytrzymał, ponieważ taki prąd poparzyłby go.

O ile sprawniej i skuteczniej działa diatermia krótkofalowa! Pierwszą zaletą tej metody jest to, że elektrody nie dotykają wcale ciała! Zależnie od stosowanej fali i siły aparatury, mogą być one oddalone nawet 8 centymetrów od ciała. Przenikliwość fal krótkich i ich działalność przegrzewająca jest prawie zupełnie równomierna i rozłożona na wszystkie tkanki, aż do kości, tak, że zastosowanie za wielkiej dawki ciepła krótkofalowego wyraża się w charakterystycznym bólu okostnej, otrzewnej lub opłucnej. Bóle te dowodzą głębokiej i równomiernej przenikliwości fal krótkich.

Bardzo ciekawą cechą fal krótkich przy diatermii krótkofalowej jest właściwość przegrzewania w pewnych warunkach jednych ciał więcej niż drugich. Objaw ten nazywamy selektywnością fal krótkich. Nagrzewając w doświadczeniach laboratoryjnych akwarium z rybkami zauważono, że po bardzo krótkim czasie ryby zaczęły się wywracać i wypływać na powierzchnię. Po zmierzeniu temperatury wody i ryb stwierdzono, że te ostatnie miały temperaturę o wiele wyższą od wody. Innymi słowami: w tym samym polu fal rybki się więcej nagrzały niż woda, czyli krótkie fale działały selektywnie, nagrzewając bardziej rybki o mniej wodę. Ta selektywna działalność fal krótkich budzi duże zainteresowanie w lecznictwie, ponieważ nie jest wykluczone znalezienie w przyszłości takich fal krótkich, któreby selektywnie nagrzewały drobno-ustroje, (bakterie) a w szczególności takiej które wywołują w organizmie ludzkim choroby. Z tego zakresu badań warto nadmienić, że jad (toksyna) błonnicy (dyfterii), nagrzewany diatermą krótkofalową traci prawie zupełnie swą jadowitość. Także przemiana materii w krwi i komórkach podlega zmianom w obrębie nagrzewa-

nych przez diatermię krótkofalową części ciała. Ona bowiem powoduje wędrówkę jonów potasu i sodu do krwi a jonów wapnia do komórek tkanki, przesunięcie niezmiernie ważne dla efektu leczniczego. Tutaj należy jeszcze wymienić kojące działanie fal krótkich przy zapaleniach średniego ucha, jam łożowych, oraz przy chorobach zębów.

Widzimy więc jak wielkie zastosowanie w lecznictwie mają fale krótkie. Selektowność zaś tych fal może nam zgotować w przyszłości nie jedną niespodziankę. W dziedzinę tę należy jednakowoż jeszcze włożyć dużo wytrwałej pracy i cierpliwości a owoce tego trudu przyniosą niewątpliwie obfity plon. A więc: per aspera ad astra — przez mrok do światła — na krótkich falach.

L. Holdowski, dr. m.-f.

KACIK TŁUMACZEN

Robert Southey (1774—1843): „Lore“.

Miłość

p. prof. J. Kreutzingerównie — poświęcam.

Choć z życiem wszystkie namiętności giną
grzechem jest mówić, że miłość minie,
Miłość silniejsza niż one!

Pycha nie może mieć w niebie mieszkania
a eheiwość w piekła ezeluści.
Bo ziemskie cnoty się nie ostana,
tam zginą — skąd je wypuścić.
Lecz miłość świętym ogniem plonie,
nie może nigdy zniszczyć.
W niebie początek, w niebie jej koniec.

Na ziemi ona gościem troski,
często niejedno przynosi zmartwienie,
czasem podaje słodki napój boski
a potem — znika w niebie bez cienia.
Tutaj jej trudna i żmudna jest siejba
lecz plony idzie zbierać do nieba.

Tadensz Rajski.

„Poezja“ kolacji

Na powierzchni stołu płaskiej
Pręży się kolacji postać:

Cukier świeci białym kaskiem,
Szabla łyżki tkwi w nim prosta.

Stos straceńców — chleba kromek
Przyodziających w szynki szkarłat,
(Szynkę tę dłoń tak znajoma
W elastyczne platy darła).

Przepastna aż do... dna otchłań
Szkłanki w pojemność bogatej
W swoje wnętrze zgrabnie wgniotła
Nektar gorącej herbaty.

Na powierzchni stołu płaskiej
pręży się kolacji postać,
Drży ze strachu i czeka laski,
Lecz za chwilę śmierć ją schłosta.

Tak, zginiecie już za chwilę
W żołądku w tej czeluści złego.
Jest tam zawsze miejsca tyle.
Co w morzu wielkim bez brzegów.

Pustka wypełnienia żąda
Egzekucji ma dokonać
Oczekuje on — żołądek
(Jego głębia, nie zglebiona!)

... Rozplywa się w mdłych ramionach
Cukier z piramidy białej
Rozszedł się, bezsilnie kona
Już go nurty z sobą zwały.

I już w moich palców kleszczach
Znalazł się chleb zatrwożony
I już gruba kromka trzeszczy
Gryziona przez zębów szpony.

Bulgoce bursztyn herbaty
W tajemnych rurach przelyku...

— Mój żołądek niezym katy
Już kolacji wyrok wykuł.

Szept duszy

Rzadko wypływa z pod pióra
Wiersz taki prosty, od serca...
Dlatego co najdroższego
W tym wierszu — Tobie poświęcam.

Nie uchwyciłem dotąd tętna mego życia
i nie chcę pisać tutaj wcale: Confiteor.

Cyniczny uśmiech zawsze na ustach
na pozór nie nie mówiący.
Prawdy do serca nie wpuszczam,
choć serce tak prawdy laknące!

Czasem zatopię się w Kasprowiezu
albo samotny błędę po parku.
ale najczęściej wracam z niczym
a za mną wleczę się tylko dar — duch.

I wtedy siadam, by pisać wiersze.
Często to idzie bardzo opornie
i tylko czasem za gestem szerszym
zjawi się lepsze coś treścią i formą.
Lecz tego znowu nikt nie czyta.
po prostu: chowam to skrycie,
bo to są serca mojego tajniki,
z którymi wolę: kryć się.

Poezja jest jak imię Kochanej
(choć nie wiem dotąd jak ono brzmi),
z nią budzę się codziennie rano
i przez dzień cały dźwięczy mi!

Poezja moja nie nie wymaga,
nie każe kląć się w wiersza chłód.
Jej nuta zadrga tak jak zagram,
choć najczęściej gram bez nut!

Moja poezja jest tak prosta,
że wolę, aby jej nie znano.
Prostotą swoją mmie już chłosta
choć nieraz — goi rany.

Poezją moja życie całe.
wszystkie radości i bóle.
Nią żyję przecież samotnie stale
pośród pogody i ulew.

Żyje w niej urok całej natury,
 żyje twarz blada z różowym uśmiechem.
 W niej żyje poszum szczęścia — które
 zostawia tylko — echo...
 Poezja moja bez rytmu i rymu
 zostawia jednak w sercach sny.
 Na koniec spytam: czemu?
 ...poezja moja jesteś: Ty!...

— — — — —
 Wciąż Ciebie szukam wśród gwiazd tłoku
 pośród powietrza atomów,
 myśl ma ucieka do złud obłoków
 lub błądzi w szarym tłumie.
 I słyszę wszędzie Twój głos brzęmiący,
 choć nie wiem dotąd, czy on brzmi!
 I wszędzie o Twa postać potracam.
 choć nie wiem jeszcze: kimżeś ty!
 Dla Ciebie żyję i Tobą żyję
 ja, biedny pielgrzym smutku!
 Cała tragedia zaś w tym się kryje,
 żeś Ty jest taka malutka!
 Giniesz w bezmiarze całego świata.
 znikasz mi często wśród smetku dnia
 i tylko duszę moją oplata
 Twoja poezja. Ta do dziś trwa.

Tadeusz Rajski.

KACIK TŁUMACZEN

Robert Southey: Night

Noc

Koleżankom (szczególnie...) i Kolegom
 z języka angielskiego — poświęcam.

Jaka cudowna!
 Ciche powietrze, rosy chłód
 i spokój nieba bez skaz, bez chmur.
 Z daleka — hen! księżycą pełnia
 boskim obliczem po niebie sunie.
 I coraz szerszą poświatą zapełnia
 niebo — ocean niby pustynią.

Jaka czarowna jest noc!

przekład z angielskiego.

Tadeusz Rajski.

Joseph von Eichendorf

Wesoły podróżnik

Pani Prof. Kreutzingerównie

— wdzięczny prezent

Komu łaski Bóg udzieli
Tego wyśle w świat daleki,
By pokazać swoje cuda:
Góry, lasy, pola, rzeki.

Oto strumyk płynie z góry,
W górze słowik śpiewa trele.
Krzyknąć chciałem z nim — gdzieś w chmury
Takie w piersi mej wesele.

— Wszędzie Bóg najwyższy rządzi —
Strumyk, las i słowik mały,
Ziemia, niebo co jest wszędzie
I ja, który'm jest jak chciałem.

Z niemieckiego

Jacek Jasiński.

KACIK HARCERSKI

Redaktor: Tadeusz Nabzdyk

Obóz o zmroku

(Sonet)

Ostatnie blaski słońca w jeziorze się złocą,
Ognista jego tarcza po niebios równinie
Powoli już się stacza i za lasem ginie.
To Stwórca znów dzień jasny zastępuje nocą.

Dziś w obozie harcerskie serca zalopocą
I do nieba z dusz czystych modlitwa popłynie,
Aby Bóg błogosławił swej wiernej drużynie
I by jej zawsze radą służył i pomocą.

W wieczornej takiej chwili na przyrody łonie,
Gdzie wiecznie Boga chwali otoczenie całe
Myśl moja i ma dusza w głąb modlitwy tonie.
I gdy z młodzieńczych piersi pieśń na Stwórcy chwałę

Unosi się do nieba, ja ją myślą gonie,
Bo Jemu swoje sprawy całkowicie zdałem.

Feliks Orzel.

„Nad poziomy“

(Z aktualności harcerskich)

Harcerze są wszędzie. Na każdym kroku, przy każdej sposobności spotykamy się z nimi. Harcerz w swej pracy, ku swoim celom dąży zarówno lądem, jak i morzem, czy — powietrzem. Powietrze, to nowoczesne pole walki i pracy jest w Polsce, poza armią, zajęte przede wszystkim przez harcerzy. Harcerskie „wzloty nad poziomy“ znane są nawet za granicą. Na ostatnie „jamboree“ do Holandii przecież lecieliśmy (dosłownie, nie w przenośni) a teraz stajemy wobec nowego popisu harcerzy - lotników: Harcerze lecą na uroczystości 25-lecia skautingu węgierskiego do Budapesztu. Ta wyprawa lotnicza przesunie się przez wielkie miasta: od Warszawy i Katowic, przez Brno i stolicę ex-wolnego państwa Wiedeń — do Budapesztu. „Siłą zbrojną“ będą 4 samoloty (w tym 1 szkolny i 1 akrobacyjny) i szybowiec akrobacyjny.

Cała „parada“ będzie miała miejsce w czasie uroczystości uświetnionej defiladą 20.000 skautów węgierskich przed regentem Węgier, kiedy Polacy dadzą pokaz akrobacji samolotu RWD 10, wystąpią z akrobacją szybowcową i odbędą grapowe skoki spadochronowe. Warto wiedzieć, że skoki spadochronowe odbędą się nie z polskiego samolotu, ale z dostarczonego przez władze węgierskie (z węgierskiego samolotu harcerz - Polak spada na węgierską ziemię...). Pokaz ten zostanie zakończony pięknym, braterskim gestem: Polsce harcerze złożą w darze skautom węgierskim szybowiec akrobacyjny noszący miano, które jest naszym hasłem: „Czuwaj!“

Gdy mowa o skautowym braterstwie, Związek Harcerstwa Polskiego został zaproszony przez rumuńską organizację młodzieży „Straż Kraju“ do współdziałania w wystawie młodzieżowej w Bukareszcie, która ma być urządzona w czerwcu b. r.

...Kiedy narody się biją wzajemnie, dyplomaci klóćą, lub wymuszają jedni na drugich sztuczne objawy przyjaźni, skauci całego świata łączą się w szczerym uścisku braterstwa.

Redaktor Kąeika.

Z kursu zastępowych...

I rozpoczął się kurs zastępowych. Projektodawca dh. podharem. Serwański miał nim kierować.

Cel i zadania kursu — to przyszli nowi, stuprocentowi zastępowi, którzy z zapalem i entuzjazmem podejmą pracę. Środkami do tego celu mieliśmy być my sami. Wykonanie pracy pozostawało przy dh. instruktorze i przy nas.

W niedzielę 2 lutego 38 r. o godz. 11 rozpoczęła się pierwsza zbiórka. I tak co niedzielę odbywały się zbiórki. Kurs zakończono 10 kwietnia 38 r. uroczystą herbatką. Było kilku gości. Na wstępie dh. Serwański omówił w kilku słowach cały kurs, podziękował uczestnikom i sypnął kilkoma „witzami“. Nastrój uroczysty momentalnie przysnął i zawiązała się miła, wesola a obfita w kawaly pogawędka... Hasłem „Czuwaj“ zakończono herbatkę.

A teraz kilka słów charakterystyki kursu.

Były to zwykłe, najzwyklejsze zbiórki, w swej prostocie nie wiele odbiegające od innych, a jednak jakieś różne. U-miał widocznie dh. instruktor zainteresować uczestników kursu. Nie siedziało się, jak, prawdę mówiąc, na „tureckim kazaniu“. Tu gra, tam piosenka, gdzie indziej „samara-tyńka“ i znowu gra. To wszystko nie nudziło i wprost przeciwnie zaciekawiało. Nie dziwnego, iż sztywność pierwszej zbiórki zamieniła się już na drugiej prawie że w swobodę. Słowem wiara żyła się, jak to się dzieje niekiedy w obozie. Polubiono się wzajemnie. Ale najwięcej zdobył sobie serce dh. instruktor. Tak umiał wszystkich zająć, zainteresować, jak sypać sobie tylko właściwymi „witzami“. Wątpię, aby go ktoś nie polubił, poznavszy go. Słusznie też mu należy

się pochwała. I nie tylko za to. Jego poświęcenie też warto podkreślić. O ile wiem — dh. instruktor miał długie godziny żmudnej pracy nad naszym kursem. On był naszą głową, naszym mózgiem. Nie należy pominąć mileżeniem i innych, którzy przyczynili się, choć w części do sprawy. Przede wszystkim zasługuje na wspomnienie Wł. Szymanowski, drużynowy z drużyny H. Dąbrowskiego. Również i inni, jak dh.: Białkowski W., Kamiński H. i Ożegowski okazali swe dobre chęci i poświęcili nieco swego czasu dla kursu.

Na zakończenie chciałbym to jedynie dodać, że kurs udał się, jak na pierwszy raz. wyśmienicie i zdaje się, że z „kursistów“ będą zastępowi.

Uczestnik. K o s i k.

Prawo harcerskie

III. Pomoc i pożytek w harcerzu

„Tam pracuję i tam działam,
Gdzie jest dla mnie korzyść czysta.“
— Tak mówi świata zakała,
Taki cel ma egoista.

My, pracujmy dla ogółu
I zawsze na Polski cześć
Idźmy na świat z ręką czulą
Tym, co trzeba pomoc nieść!

Każdy naszych rąk wysiłek,
Każdy naszej pracy gest
Niech potwierdzą słowa mile:
„Harcercz pożyteczny jest!“

Sprostowanie.

W artykule p. t. „Akademia morską” pominąłem wskutek przeoczenia osobę konferansjera, którym był abiturient, kol. K. Stawory, za co tego ostatniego najmocniej przepraszam. Zaznaczam również, że ze swego zadania, w czasie akademii morskiej, wywiązał się znakomicie, czego dowodem były liczne głosy pochwalne w miejscowej prasie.

Jacek Jasiński.

Uwaga Koledzy graficy i malarze!

Rozpisujemy konkurs na okładkę dla naszego pisma. Okładka, która musi być oryginalna lecz estetyczna w wymiarach 14×18 cm powinna mieścić w sobie tytuł: „Promień”, a w wymiarach 14×20 tytuł: „Promień — Miesięcznik młodzieży gimnazjalnej i licealnej”.

Projekt okładki podpisany pseudonimem należy oddać Kierownikowi Wydawnictwa do dnia 7 czerwca br. W dołączonej kopercie należy podpisać się nazwiskiem i klasą.

Pierwsza nagroda wynosi	5,00 zł	w gotówce
Druga	3,00	„ „
Trzecia	2,00	„ „

Wszystkie nadesłane prace należą do Wydawnictwa.

Kierownik Wydawnictwa.

Czy wiecie, że...

... Otwarta w Warszawie 12 lat temu „benzolownia” produkuje rocznie 200 ton benzolu. Benzol ma wielkie znaczenie dla przemysłu gazowniczego i dla samoobrony Państwa. Benzolu używa się do wyrobu środków przeciw gazom trującym i dymom.

... Skutkiem złych dróg przypada rocznie strat na każdego mieszkańca: w b. Kongresówce za 9,80 zł, na Kresach Wschodnich za 7,21 zł, w b. Galicji za 6,— zł, w Wielkopolsce za —,60 zł.

M a r i a n D o ł a t a, kl. IVb.

Koło Szachistów!

Nareszcie!!

Ziściły się marzenia zwolenników filozofii szachowej.

Już!!

Nie będą niszczyć młode talenty i nietalenty.

Gdyż

znalazły schronienie i opiekę w nowo-powstałym:

„Kółku Szachistów”

im. śp. mistrza A. Wojciechowskiego.

1000 zł!

To wielka suma. Lecz tylko dobry szachista kiedyś ją zdobędzie.

„Kółko Szachistów”

kształci entuzjastów i daje możliwość wy-bicia się.

Dziś!

Lub jutro olénisz świat, będziesz sławny jak Alechin!

Wnioski

z prośbą o przyjęcie do kółka przyjmuje prezes: kol. Fiksiński Rajmund IV b.
